

Na świecie jest ślicznie

JOANNA OSTROWSKA Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

Lubie to! 0



Fot. Damian Andrzejewski / Spot

W Teatrze Muzycznym w Poznaniu ostatnio postanowiono przekonać widzów, że nie *Nie ma jak lata 20., lata 30.* Chodzi oczywiście o wiek ubiegły, a nie ten, w którym obecnie żyjemy. Nie ma futurologii, jest nostalgiczna podróż do przeszłości. Wiem, że spektakle muzyczne rzadko kiedy są dziełami stworzonymi w ten sposób, by z nimi polemizować w sferze świata przedstawionego, ale czasem inaczej się nie da.

Skąd ta sentymentalna nostalgia akurat za tamtym dwudziestoleciem? Gdybym zaproponowała tytuł spektaklu *Nie ma jak lata czterdzieste i pięćdziesiąte*, wszyscy uznaliby, że zidiociałam. Dlaczego taki tytuł wydaje się bardziej kontrowersyjny niż ten z Teatru Muzycznego? Odpowiedź jest oczywista: wojna, stalinizm. Choć przecież wtedy też ludzie się czasem śmiali, śpiewali piosenki, zdradzali małżonków i głupio się z tego wykręcali. Co takiego pięknego, za czym warto tęsknić, zdarzyło się w tamtym dwudziestolecu? Wielki kryzys? Rodzenie się nacjonalizmów i faszyzmu? Getto ławkowe?

Nic (albo prawie nic, o czym później) z tego nie można znaleźć w spektaklu. Nostalgia dotyczy nie tyle tamtego realnego świata, ile jego mocno wyidealizowanego i dobrze utrwalonego obrazu. Przyczynił się do niej częściowo scenarzysta spektaklu (pod takim tytułem występuje w programie) Ryszard Marek Groński, który w latach 80. współtworzył jeden z pierwszych polskich filmów musicalowych pod tytułem – jakże by inaczej – *Lata dwudzieste, lata trzydzieste*. Ten sielankowy obraz dwudziestolecia międzywojennego zawdzięczamy po części także siermiężności Peerelu. Dwie dekady w pierwszej połowie dwudziestego wieku to była nasza *la belle époque* – kiedy świat był młody, piękny i taki, jak powinien być. Kino też było fajne, zamiast młodzieży socjalistycznej miast i wsi oraz rozterek przekwitających dyrektorów zjednoczeń (to taka forma organizacyjna socjalistycznej gospodarki) pokazywało pięknie ubrane młode subiektki, obowiązkowo budzące zainteresowanie jakiegoś hrabica z złotym sercu i zasobnym portfelu, który nie wymyślał sublokatorskiego pokoju, a jeśli nadal mieszkał z rodzicami, to w pałacu. Dostępnymi naocześnie świadectwami tamtego świata były pokazywane – tak jak obecnie *Kevin sam w domu* – z okazji świąt wszelakich polskie komedie dziś powiedzielibyśmy „romantyczne”, w których także ochoczo śpiewano. Taki też utrwalił się obraz tamtych czasów – świata rozpiewanego, wesołego, a równocześnie eleganckiego, wytwornego i pełnego zakochanych. A że jednorodność polskiej kinematografii dwudziestolecia nie wynikała z zachwycenia się światem, tylko z tego, że jej produkcje były obciążone gigantycznym podatkiem i musiały być komercyjnymi hitami, jakie miały szansę przyciągnąć tłumy ludzi, by na siebie zarobić, to już zupełnie inna sprawa. Jednak jest ona bardzo blisko związana z najnowszą premierą Muzycznego.

Nowy dyrektor, kiedy obejmował teatr, zapowiadał nowy kierunek, więcej znanych tytułów musicalowych i odejście od starej linii repertuarowej. Początek tego sezonu zapowiadał, że rzeczywiście pojawiają się zmiany. Dyrektor Kieliszewski bardzo dba także o to, by premiery stawały się ważnymi wydarzeniami towarzyskimi dla tych, których zwykło się nazywać elitą. Pojawiają się na nich przedstawiciele władz lokalnych i nie tylko (aktualnych i minionych) z rozmaitych opcji, rektorzy uczelni, przedstawiciele sponsorów. Wszyscy witani z nazwiska ze sceny przez dyrektora mogą czuć się „godnie ugoszczeni”. A że spektakle w tym sezonie były z kategorii „lekkie, łatwe i przyjemne” (co nie znaczy absolutnie, że złe), Teatr Muzyczny został doceniony przez lokalnych radnych jak chyba żaden inny w Polsce – dodatkowymi 150 tysiącami na przygotowanie wiosną premiery na światowym poziomie. Pomijając już absurdalność oczekiwań radnych, wykazali się oni dużą nieznajomością pracy teatralnej – artyści mogący przygotować spektakl na światowym poziomie planują swoje zajęcia na kilka sezonów, a nie kilka miesięcy naprzód. Ale pieniądze się pojawiły i głupotą byłoby z tego nie skorzystać. Trzeba było zrobić – zgodnie z tradycjami z teatrzyków komercyjnych – szybko i tak, żeby był murowany sukces, a więc do śmiechu i żeby wszystko było już znane. Tak oto sukces stał się zarzewiem klapy.

Spektakl w Teatrze Muzycznym zbudowany jest niemal wyłącznie z piosenek – tych filmowych i tych kabaretowych. Jeśli wierzyć tekstowi z programu oraz tradycyjnemu już słowu wstępnemu dyrektora Kieliszewskiego ogłoszonemu przed spektaklem, przedstawieniem tym teatr chciał otworzyć oczy niedowiarkom, którzy nie doceniają poznańskiej międzywojennej sceny kabaretowej. Wyszedł z tego „miś na miarę naszych możliwości”, ponieważ finałowa piosenka spektaklu to przeróbka przeboju z warszawskiego teatrzyku Morskie Oko *Cała Warszawa zobaczyć musi to*. Po prostu w tekście, którego autorem jest były dyrektor Muzycznego Daniel Kustosik, występująca w oryginale warszawska ulica zmieniono na poznańskie, warszawianki na poznaniaki i już mamy rewiiowy przebrój o Poznaniu. Czyżby jednak żadnego z epoki nie udało się odnaleźć? Jeśli tak, to ów zabieg nie uwiarygodnia o tezy o tradycjach kabaretowych międzywojennego Poznania.

Pomysł dramaturgiczny na połączenie piosenek w spektakl jest mechaniczny i przez to dość wąty. Otóż cała akcja przedstawienia to kręcenie filmu „o życiu”, stąd dwiema postaciami nadającymi całości spójność są producent (Arnold Pujsza) oraz reżyser (Wiesław Paprzycki), którego ten pierwszy podejrzewa o chęć doprowadzenia siebie do finansowej ruiny. Miejsca między piosenkami wypełnione są przez ich dialogi będące klasycznymi numerami kabaretowymi. Niestety, humor utrzymany w klimacie epoki obecnie nieco już traci myszką. Wymśmianie męża rogacza, który przyłapał żonę *in flagranti* z przyjacielem i dał się przekonać, że coś mu się przywidziało, to szczytowatej dowcipności. Gorzej, że niektóre piosenki nie tylko przez swój tekst, lecz głównie inscenizację prezentowały typ humoru, którego nie umiem zaakceptować. Lagodniejszym przykładem była piosenka Zuli Pogorzelskiej śpiewana przez Lucynę Winkel w towarzystwie męskiego chóru. Po usprawiedliwieniach molestowania seksualnego przez pewnego publicystę, który bagatelizował: „Kto nigdy nie wykorzystał niestrzeżwej, niech pierwszy rzuci kamieniem”, panowie zachęcający każdego do przekonania się, iż skoro „ta mała pila dziś”, to każdemu „usta da”, a na dodatek „jest taka senna”, że „nie pamięta nic”, brniąca dla mnie jak zachęta do zbiorowego gwałtu. Poza tym teksty piosenek prezentowały świat, w którym kobieta jest interesująca, póki nie zostanie żoną. Kiedy tak się stanie, można już tylko narzekać, jak bardzo się ma jej dość. Pozostaje jeszcze ewentualnie poddanie się *Sex appealowi*, lecz ten w wykonaniu Macieja Ogórkiewicza nie był tak atrakcyjny, jak w wykonaniu Bodo. Ogórkiewicz nie był przede wszystkim tak starannie zrobiony na kobietę jak pierwowzór, a po drugie sprawiał wrażenie dość niepewnego swojej roli: czy ma grać kobietę, czy karykaturę transwestyty. Piosenki nie sprawiały wrażenia, iż zostały dobrane pod kątem możliwości stworzenia z nich jakiejś narracji. Wydaje się, iż chodziło raczej o to, by były znane i ewentualnie stwarzały pole do popisu wykonawcom oraz tworzyły „rewiowy” klimacik. Pewnie dlatego wioślarki w otwierającej przedstawienie piosence *Ach, jak przyjemnie*, ubrane w marynarskie „mundurki” starannie odslaniające ich szydełki, przekonywały, że „jak można się nudzić, jak można marudzić” skoro „na świecie jest ślicznie”.

Tym, co by mogło ratować *Nie ma jak...*, byłoby rewelacyjne wykonanie, ale choć aktorzy Teatru Muzycznego się starają, to niestety daleko im np. do Michnikowskiego czy Kobuszewskiego. Choć w intonacji dwóch protagonistów bardzo pięknie słychać charakterystyczny żydowski zaśpiew, to obaj panowie sprawiają wrażenie lekko nieobecnych i dość zmęczonych. Dla Paprzyckiego jest to już w ciągu ostatnich trzech miesięcy trzecia premiera, w której gra główną rolę, więc ma prawo być już lekko przepracowany. Taka częstotliwość dawania premier jest bardzo z epoki, o jakiej opowiada spektakl, ale niestety musi zaważyć na jakości przedstawień. To widać. Lekko nieobecny duchem na scenie wydawał się także Jarosław Patycki, którego sztywność np. w *Tej ostatniej niedzieli* była trudna do wyśnięcia inello, by przez najwyraźniej obezwładniający go mundur. Także Anna Lasota, która w *Hello, Dolly* momentami była dużo lepsza niż gwiazda tego spektaklu, tu wypadła nie najlepiej. Piosenki w wykonaniu Lasoty były monotonna dramatyczne w swoim wyrazie. Najswobodniej, bo lekko farsowo, wypadli Lucyna Winkel i Łukasz Brzeziński. Byli jedynymi na scenie, którzy wydawali się czerpać przyjemność z tego, co robią. Może więc dobrze czasem nie dawać *Więcej gazu* (jak brzmiał tytuł jednej z piosenek) i pospieszyć kolejne premiery, tylko przystopować, bo wyjdzie to z korzyścią dla jakości przygotowywanych przedstawień.

Nie ma jak... aż do dwóch ostatnich piosenek były po prostu takim sobie muzycznym spektaklikiem, nieodbiegającym od tego, co działo się na tej scenie przez ostatnich kilkadziesiąt lat. Ot, mało wyrafinowana rozrywka dla inteligencji pracującej miast i miasteczek. Niestety, i trudno, i przykro, że twórcy nie zdawali sobie z tego sprawy (a jeśli zdawali, to tym gorzej), że poszczególne piosenki znaczą nie tylko wewnątrz inscenizacji nich samych, ale także poprzez kontekst sąsiadujących z nimi numerów. Twórcy spektaklu w finale postanowili dać znać, że jednak dostrzegli, iż coś mało „ślizznego” i „przyjemnego” działo się w tym czasie na świecie. Najpierw pojawia się na scenie Paprzycki śpiewający *Ten wąsik*. Robi się groźnie i poważnie. Następnie producent i reżyser debatują nad gazetą informującą o pomysłach wysłania Żydów na Madagaskar. Zostaje to spuentowane piosenką *Madagaskar* Mieczysława Miksne, która w czasie kiedy powstała, była pełną gębą gorzkiej złośliwości odpowiedzią na pomysły rozważane przez polski rząd dotyczące przesiedlenia Żydów do tej francuskiej kolonii. Inszenizacja, kostiumy, taniec postaci pozabawiły ją całej ironii i przeniosły w klimat podbarwionych przekonaniem o wyższości „naszej kultury” pokazów tańców „dzikich” z przedstawień z początków ubiegłego wieku. Dlatego część aktorów miała kudłate czarne peruki i spódniczki z traw oraz etniczną biżuterię. Żeby owo umieszczenie Żydów na Madagaskarze nie wyszło za subtelnie, postanowiono dobić piosenką i tak przedstawionych „Murzynów” wyposażyć w jarmułki, tarcze ozdobione gwiazdą Dawida, a czolowego „Murzyna” także w gigantyczną srebrną gwiazdę zwisającą z szyi. Niektórzy mają specyficzne poczucie humoru, lecz dobrze by było, żeby twórcy posiadali także odrobinę wyczucia. Miksne napisał swoją piosenkę przed wojną. W spektaklu Artura Hoffmana postać Hitlera i w związku z tym cały kontekst historyczny zostały już wprowadzone na scenę dzięki piosence *Ten wąsik*. Z tego poziomu nie da już się cofnąć do „robimy sobie jaja z Murzynów i Żydów”.

Potem jeszcze następuje finałowa zachęta: „cały Poznań zobaczyć musi to”. Czyli co? Jak w Muzycznym nabijają się z jednego z najkoszmarniejszych w skutkach pomysłów, jak rozwiązać kwestię Innego? Nie wiem, czy taki był zamysł twórców spektaklu (wołę przypuszczają, że nie), ale jeśli chodzi o przywoływanie tradycji poznańskich, to na razie w kwestii międzywojennego kabaretu nie bardzo im wyszło, mają za to szansę przywołać obraz przedwojennych poznańskich endeckich demonów. Kiedy wychodziłam ze spektaklu, wkurzona i zdeustowana, przypomniała mi się pewna piosenka. Też początkowo opowiada, jaki świat jest śliczny, na dodatek wykonywał ją bardzo śliczny chłopak. Mogłaby zamknąć spektakl taką ładną klamrą. Jej tekst brzmi:

The sun on the meadow is summery warm

The stag in the forest runs free

But gathered together to greet the storm

Tomorrow belongs to me...

15-03-2015

Teatr Muzyczny w Poznaniu
Nie ma jak lata 20., lata 30.
scenariusz, wybór tekstów kabaretowych: Ryszard Marek Groński
scenariusz: Artur Hoffman
kierownictwo muzyczne: Agnieszka Nagórka
choreografia: Paulina Andrzejewska
obsada: Arnold Pujsza, Wiesław Paprzycki, Maciej Ogórkiewicz, Anna Lasota, Lucyna Winkel, Łukasz Brzeziński
premiera: 27.02.2015

TAGI: Paulina Andrzejewska, Ryszard Marek Groński, Artur Hoffman, Agnieszka Nagórka, Poznań, Teatr Muzyczny,

Udostępnij

Lubie to! 0

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

dwa plus trzy jako liczbę:



KOMENTARZE (4)

Piotr | 2016-11-27 16:25:02 # Cytuj

Spektakl jest fantastyczny, a Pani Ostrowska musi mieć niebywale skrzywione poczucie humoru. Jak można nie odróżniać klasycznego wodewilu (o którym świat już zapomniał) od spektaklu muzycznego? Od tego rodzaju przedstawienia można oczekiwać umeczenia tragiczną historią II wojny światowej, poza tym chyba wszyscy mamy już tego dosyć. Przedstawienie świetnie zagrane, zaśpiewane i wytańczone. Bez zbędnego zjadania. Ten wąsik w fantastycznym chaplinowskim stylu, sądzę, że autor przyklasnąłby wraz z mną. A finał? Fenomenalny, zaskakujący, pełen przepychu. Jeżeli ktoś na widowni kręcił nosem, to jedynie autorka powyższej recenzji. Spektakl musi choć raz rozbawić każdego. Taki był jego cel i został osiągnięty.

grazyna | 2015-08-23 21:46:02 # Cytuj

Byle kto mnie nie obrazi... Nie mógł się pan Patycki zachowywać sztywno w tej piosence, bo go nie było wtedy na scenie...hehe Prawo do pisania recenzji mają Ci, którzy widzieli spektakl. Pozdrawiam wszystkich melomanów i nauczycieli!!!

grazyna | 2015-07-21 16:11:28 # Cytuj

Grażyna napisała(a):

”
Droga Pani Piosenka ma tytuł *To ostatnia niedziela a nie Ta Nie śpiewał ja nigdy pan Patycki ale Łukasz Brzeziński!!! ...Hm rozumiem że że to wyłanie pomyj na spektakl na którym nie była Pani obecna. Często zdarza się to pseudo recenzentom. Wczoraj całą grupą nauczycieli gościliśmy na spektaklu. Dziękujemy artystom za wspaniałą zabawę i ucztę muzyczną. To niesamowite że dziś szukając wiadomości o tej realizacji natknęłam się na te wypociny.*
Grażyna Wojtczak

Szanowna Pani, jako nauczycielka powinna Pani mieć chyba formułę swojej opinii w sposób bardziej kulturalny. Powinna Pani także posiadać umiejętność czytania ze zrozumieniem, choćby po to, by nie czeptać się bez sensu. Przypuszczam jednak, że to zbyt duży wymagania wobec nauczyciela. (Nigdzie nie jest napisane, że to Patycki śpiewał "To ostatnia niedziela", napisano, że zachowywał się w tej piosence sztywno). Podobnie na wyrost wydaje się oszczeniwanie, że nauczyciel będzie w stanie wyartykułować swoje opinie w sposób intersubiektywnie komunikowalny: "Nie śpiewał ja nigdy pan Patycki...". Interpunkcja, też nie jest mocną stroną nauczycielki, nawet w tak oczywistych przypadkach, jak wstawienie przecinka przed który, czy w środku zdania też jest błędem. Podobnie jak błąd gramatyczny: "uczta muzyczna"... Niebdałość w niestosowaniu polskich znaków też nie świadczy najlepiej o Pani, jako o nauczycielce. Na szczęście umie Pani obrażać, więc podstawowe kwalifikacje na pedagoga ma Pani.

grazyna | 2015-06-19 17:54:19 # Cytuj

Droga Pani Piosenka ma tytuł *To ostatnia niedziela a nie Ta Nie śpiewał ja nigdy pan Patycki ale Łukasz Brzeziński!!! ...Hm rozumiem że że to wyłanie pomyj na spektakl na którym nie była Pani obecna. Często zdarza się to pseudo recenzentom. Wczoraj całą grupą nauczycieli gościliśmy na spektaklu. Dziękujemy artystom za wspaniałą zabawę i ucztę muzyczną. To niesamowite że dziś szukając wiadomości o tej realizacji natknęłam się na te wypociny.*
Grażyna Wojtczak

POWIĄZANE TEATRY

Teatr Muzyczny

PRZECZYTAJ TEŻ

Łukasz Drewniak
K/263: Przed

Joanna Ostrowska
Teatr pierwszego kontaktu

Juliusz Tyszka
Publiczność zamaltretowana

Joanna Ostrowska
Spowiedź dziecięcia wieku

Juliusz Tyszka
Farsowa wyborność w umiarkowanym tempie

Piotr Dobrowolski
Do szpiku kości

15 VI 2022
IV edycja Festiwalu „Śleboła/Danutka

16 VI 2022
XI Tyski Festiwal Performance

19 VI 2022
Cykl "Bóg i proch" - część trzecia

BĄDŹ NA BIEŻĄCO

